



Urodziłem się w czasach "małej stabilizacji", jaką moim rodzicom i milionom obywateli PRL zafundował towarzysz "Wiesław". Na świat przyszedłem na warszawskich Bielanych na samym początku kalendarzowej jesieni. Fakt ten (jak się później okazało) był brzemienny w skutkach. Po pierwsze raz na całe życie stałem się warszawiakiem z wszystkimi zaletami i wadami tego stanu rzeczy. Z perspektywy lat oceniam to pozytywnie, bo mogę zwać na genetyczne obciążenie moją słabość do prozy Wiecha i Grzesiuka, a także do piosenek Staśka Wielanka.

Jesienna aura zaważyła bezspornie na moim melancholijnym usposobieniu i braku śmiałości do kobiet, z czym walczę bezskutecznie do dnia dzisiejszego. Jeśli osobom nieobeznanym z etymologią słowa „Bielany” wyjaśnię, że pochodzi ono od białych habitów kamedułów, (którzy do dziś mają klasztor w Lasku Bielańskim) to nikogo nie zdziwi, że moje pierwsze przedszkole prowadziły siostry zakonne.

Tam właśnie zaznaczyła się dwoistość mojej natury. Z jednej strony siostra Ziuta prorokowała mojej mamie, że tak skromne zachowanie syna predystynuje go do stanu kapłańskiego, zaś z drugiej strony koleżanka z grupy – Ania (chodząca podobnie jak ja w niebieskich rajstopkach) zaintrygowała mnie swoimi kokardami w długich warkoczach i ujmującym uśmiechem. Próba zwrócenia jej uwagi na moją skromną osobę powiodła się połowicznie. Być może przyjęty sposób podrywu na „intelektualistę” nie był najlepszy. Idąc do przedszkola potrafiłem nieudolnie pisać niektóre litery (oczywiście tzw.

drukowane), a imię Anna (dzięki temu, że moja siostra też tak się nazywa) wydawało mi się banalnie proste do napisania. Niestety robiąc taki podpis pod jej rysunkiem nie ustrzegłem się błędu, co brutalnie wytknęła mi pani przedszkolanka. To przekonało mnie, że bycie bohaterem, znanym podróżnikiem, kowbojem lub śmieciarzem należy odłożyć na później, bo wcześniej trzeba nauczyć się pisać poprawnie przynajmniej imiona dziewczyn, z którymi chce się spotykać. Dlatego zdecydowałem się zapisać do szkoły podstawowej nr 187 im. Antoniego Makarenki, oczywiście na Bielanach. Tak naprawdę nic wielkiego się w tej szkole nie działo poza tym, że nauczyłem się poprawnie pisać takie imiona jak: Małgosia, Kasia, Monika, Ania (a jak!) i jeszcze raz Kasia (ale już inna).

Zapomniałem jeszcze napisać, dlaczego tak ważne okazało się to, że urodziłem się pod panowaniem tow. W. Gomułki. Bezpośredniego wpływu na mnie pierwszy sekretarz PZPR na szczęście nie miał. Istotny był jedynie fakt, że dzięki urodzeniu się w latach 60-tych świadomie oglądałem olimpiadę w Monachium w 1972 roku, mecz Polska – Anglia na Wembley i pamiętne Mistrzostwa Świata w Niemczech w 1974. Dla młodszych wytłumaczę, że to były pierwsze sukcesy polskich piłkarzy na arenie międzynarodowej. Do wcześniej wspomnianych planów zawodowych dołączył zatem kolejny – piłkarz reprezentacji narodowej.

Kiedy po wielu latach zorientowałem się, że reprezentacja Polski w piłce nożnej ze względu na mój wiek i brak szczególnego talentu nie upomni się o mnie, postanowiłem sam założyć drużynę narodową – Reprezentację Artystów Polskich (RAP). Od 1999 roku jestem nie tylko jej zawodnikiem, ale również powołuję kolejnych piłkarzy. To naprawdę bardzo komfortowa sytuacja.

Jako chłopiec o braku sprecyzowanych predyspozycji np. do obróbki skrawaniem, krawiectwa lekkiego lub naprawy sprzętu A.G.D, po ukończeniu podstawówki zostałem nakłoniony przez nauczycieli i rodziców do złożenia dokumentów do liceum ogólnokształcącego. Wybór (dość przypadkowo przyznam szczerze) padł na byłe żeńskie gimnazjum im. Aleksandry Piłsudskiej znane zarówno wtedy, na początku lat 80-tych jak i obecnie jako XVI L.O. im. St. Sempołowskiej. Nie przypadkiem wspominam o żeńskim rodowodzie tej szkoły, gdyż w klasie maturalnej było nas tylko 3 na 30 dziewcząt. Miało to swoje plusy i minusy.

Największym mankamentem tej sytuacji był zazwyczaj „Dzień kobiet” (dzisiaj Walentynki), zaś z plusów korzystam do dziś. Maturę i egzaminy na Uniwersytet Warszawski zdałem w pewnej mierze dzięki wrodzonemu urokowi, jak i dużej dozie szczęścia, bo szczególnych inklinacji do systematyczności i pracowitości nigdy nie posiadałem. Studia, zarówno na wydziale Chemii jak i Prawa i Administracji nie pochłaniały mnie zbyt. Pochłaniały mnie za to zupełnie inne rzeczy, ale to temat na oddzielne opowiadanie. Zaowocowało to tym, że po siedmiu latach bycia studentem przestałem się uczelnią interesować, a uniwersytet zrewanżował mi się dokładnie tym samym. Moje indeksy, karty egzaminacyjne i inne dokumenty, nieodebrane do dzisiaj, obrastają kurzem w przepastnych archiwach tej zacnej instytucji. W tak zwanym międzyczasie rozpoczęła się moja przygoda z muzyką.

Początkowo w pełni amatorska (wynikająca z potrzeby wyróżnienia się z tłumu i jak to zwykle bywa, bycia atrakcyjniejszym dla koleżanek), a od 1987 roku już bardziej zawodowa. Tak trwa ona do dziś i mam nadzieję, że potrwa jeszcze ładnych parę lat.